

Znudzony, wpatrywałem się w sznurek aut, sunących przede mną w śniegowej brei. W radio, jakiś redaktor - mądrała wypytywał zaciekle swojego gościa, nazywanego co chwila panem Emilem, o uroki życia w nieformalnym związku partnerskim z niejakim panem Krystianem albo Kryspinem. Nie wiem, nie słuchałem zbyt uważnie tych egzotycznych szczebiotów.

Trochę z nudów, a trochę przez żółtą lampkę rezerwy, która już od kilkunastu minut była jedynym, acz mocno irytującym urozmaicheniem bladoniebieskiego podświetlenia deski rozdzielczej, zjechałem na przytulnie kuszącą stację benzynową. Wlałem za stówę, po czym zniknąłem w ciepłym wnętrzu, wypełnionym zapachem hot dogów i kwiatowego płynu do podłóg.

-- Z dwójki, poproszę! -- wyrząłem przez zaparowaną szybę, upewniając się jeszcze raz, czy istotnie mój samochód stoi przy dystrybutorze numer dwa.

Dziewczyna w kasie miała szyję unieruchomioną kołnierzem ortopedycznym. Sztucznie wyprostowana, lypała na wszystkie strony lekko skośnymi oczami, podkreślonymi czarną kredką. Najwyraźniej, przez sztywno przyczepioną do tułowia głowę, tylko tyle zostało jej z całego arsenału niewerbalnych sygnałów, które zwykła wysyłać w stronę męskiej części klienteli.

-- Faktura? -- Wzięła ode mnie kartę i pomachała nią sobie przy uchu jak małym wachlarzykiem.

-- Nie, dziękuję.

-- Punkty?

-- Też nie.

-- Płyn do spryskiwacza? Zestaw kosmetyków do tapicerki?

Bawiły ją te wyuczone formułki, bo z każdym pytaniem jej uśmiech robił się szerszy i coraz bardziej szczerzy.

-- Proszę pin.

Wbiłem.

-- Faktura, paragon? -- zażartowała, doskonale wiedząc, że przed chwilą już o to pytała.

Uśmiechnąłem się, łapiąc dowcip.

-- To może jeszcze kawę zaproponuję...

-- Niech pani tak dużo nie gada, bo od tego podobno boli szyja.

-- No, straszna gaduła ze mnie. -- Wskazała palcem kołnierz.

-- Ale przy kawie fajnie się rozmawia.

-- Zrobić?

-- Nie, to ja panią zapraszam. -- Złapałem jej iskrzące spojrzenie, niczym płatny morderca, który zaraz wykona egzekucję.-- Nawet mogę ją sam zaparzyć.

Mój pocisk, w zwolnionym tempie, opuścił lufę i, z białej mgiełki wybuchającego prochu pomknął w kierunku pary, tych rozkosznie rozbieganych oczek, które nagle zastygły pod zmrużonymi powiekami. Jedna, góra dwie nanosekundy miały jej wystarczyć na odpowiedź i to tylko tę jedyną, oczekiwaną, satysfakcjonującą. Snajperski strzał musiał trafić w cel.

-- No... Może, może... -- Uśmiech dziewczyny stał się nagle inny, błyszczący, ukradkiem skradziony z lekko przygryzionych ust, wyrwany z okowów ostro zarysowanych kości policzkowych, które oblał delikatny rumieniec.

"Może" oznacza "tak". Jakie jesteście uroczo przebiegłe w tych celowych niedopowiedzeniach. Wabicie facetów smakowitym kąskiem słów o całkowicie odmiennych znaczeniach, aby z trzaskiem zakatrupić ich w pułapce domysłów. Drwicie później na widok ich żałośnie zgniecionych szczątków, bez żalu, że żaden nie okazał się starym, przebiegłym szczurem, co potrafi wyjeść ser, pozostawiając otwarty i pusty potrzask.

Przeładowałem i złożyłem się do drugiego strzału.

-- O której kończysz? -- formalnie i już całkiem banalnie dokończyłem zlecenie, które przed chwilą na siebie wystawiła.

-- Po dziewiątej.

Gdyby nie kołnierz, pewnie spuściłaby wzrok, zawstydzona, tym, jak łatwo dała się poderwać. Ale nie. Nie ona. Oddała mi kartę i, puszczać figlarne oko, zaczęła obsługiwać stojącą za mną starszą panią, dyszącą niecierpliwie czosnkowym oddechem.

Jeszcze tylko nagryzmołem na paragonie swój numer telefonu i przerzuciłem ponad stojakiem z gumami do żucia. I nie tylko do żucia. Dyszącą czosnkiem zmierzyła mnie pogardliwie.

Wróciłem do siebie. Duże, wygodne mieszkanie w kamienicy na Mokotowie. Wysokie okna, dwuskrzydłowe drewniane drzwi na klatkę schodową, łazienka z oknem i gruby, wykastrowany kocur, sennie mrugający ze skórzanego kanapy. Barek, przyzwoita muzyka, zapach tytoniu i czasami czegoś dobrego do jedzenia. Mój dom, pierwszy tylko mój, bez zbędnych upiększeń i sublokatorów.

Napełniłem wannę i z puszką RedBulla wyciągnąłem się w miękkiej pianie.

Wieczorem deszcz zmienił się w śnieg, najpierw lepki, ciężki, potem bardziej puszysty, magiczny i niegroźny. Dwa światy, oddzielone cienką taflą szyby - mój, duszny, łazienkowy, pachnący i ten za oknem, mroźny, nadprzyrodzony, bezszelestnie pokrywający się łagodną bielą. Drzemałem, myślałem, znowu drzemałem, woda robiła się chłodna, dolewałem gorącej, czarne gałuszki za oknem stawały się polukro-

wane, miękkie i zaczarowane.

Z niebytu wyrwało mnie piknięcie SMSa.

Owinięty ręcznikiem, pacnąłem w kopertę na wyświetlaczu.

"Naczelną zbiera materiał do nowego numeru. Napisz coś na czwartek. J."

Jan, mój redaktor, pilnował mnie jak Anioł Stróż. Może i dobrze, bo bez mocnego kopniaka w tyłek często bym się nie zebrał do pisania. Człowiek o dwóch twarzach, ten Jan. Z jednej strony doskonały konstruktor, dzięki któremu patrzyłem napuszony na swoje teksty, wydrukowane, pachnące, stojące dumnie w lśniących okładkach na półkach z nowościami, z drugiej nieustanny gmeracz i barbarzyńca plądrujący szyk słów, przedstawiający myśli, bezwzględny uzurpator emocji. Nienawidziłem go i jednocześnie uwielbiałem. Zazdrościłem poukładanego życia, wyśmiewając za plecami nieporadność uzależnienia od pracy, kalendarza, niesfornych autorów i żony, kontrolującej go na każdym kroku.

"OK" - odpisałem, wciągając jedną ręką bokserki.

"Ale dzisiaj nie piszę." - usadowiłem się z laptopem na kanapie, co wyraźnie nie spodobało się kotu. Złazł i przeniósł się pod lampę na komodzie.

Zabrałem się za czytanie opowiadań moich kursantów.

Jan zrobił mnie w internetowy kurs pisarski dla amatorów. Z początku się opierałem, ale później okazało się, że to fajna zabawa. Poza tym zawsze wpadnie parę groszy.

Miałem w grupie 5 osób, cztery babeczki i jednego faceta. Najlepiej jak dotąd pisała niejaka Cinderella, z podobizną disnejowskiego Kopciuszka w awatarze. Miała taki literacki pazur, ciekawy styl, zalatujący prozą Charlesa Bukowskiego. Nawet akcję swoich dwóch, jak dotychczas, prac umiejscowiła na słonecznych przedmieściach Los Angeles. Chyba musiała tym kiedyś być. Nasz rodzynek amator pisał fatalnie

Otworzyłem plik z tekstem Cinderelli:

"Popołudniowe słońce piekło bezlitośnie ramiona Kendry. Dziewczyna przemierzała leniwą dzielnicę Santa Ana, licząc na to, że za rogiem czai się ktoś, kto zechce ją w końcu porządnie zerznąć. Niestety, oprócz kilku Latynosów w porozciąganych gaciach i kloszarda śpiącego na rozpląszczonym pudle od telewizora, nie spotkała nikogo..."

Już miałem podążyć, krok w krok za rozpalonymi, wilgotnymi od kalifornijskiego potu, pośladkami Kendry, gdy mój telefon ponownie zapiszczał.

"Czego on znowu chce?" - Zły na Jana, sięgnąłem po aparat.

"Czy zostało Ci jeszcze paliwo, żeby odwieźć gadule ze stacji benzynowej do domu?"

W jednej chwili ujrzałem ponownie Czarnooką kasjerkę.

"Cholera! Szybko zrobiłaś użytek z mojego numeru" - pomyślałem, nie bez satysfakcji.

Zerknąłem na godzinę. Za dwadzieścia dziewiąta.

"Owszem, jeśli gaduła da się zaprosić po drodze na kawę. Obiecuję nawet zacząć zbierać punkty"- wystukałem, dbając o wszystkie polskie znaki. Jako pisarz z zawodu i humanista z urodzenia uważałem za swój obowiązek stać na straży estetyki słowa, nawet jeśli stanowi tylko element tak nikczemnej formy literackiej, jaką jest SMS. Poza tym jest chyba różnica między robieniem komuś łaski, a robieniem komuś laski.

Nie czekając na odpowiedź poleciałem się ubrać.

Pospiesznie umyłem zęby, prysnąłem się wodą i dopinając koszulę wróciłem do telefonu.

Na ekranie migiała żółta koperta.

"Pierwsze punkty przyznane. Czekam"

Zbiegłem do samochodu. Był cały przysypany śniegiem.

"Miotła, gdzie jest miotła! Ostatnio padało, musi być w środku". Była w bagażniku.

Do dziewiątej zostało kilka minut.

Ruch zelżał, ale ulice były całkowicie białe.

"Kurwa, jak zwykle zima zaskoczyła drogowców".

Nie dało się jechać szybciej niż czterdzieści na godzinę.

Przeskakiwałem kolejne skrzyżowania na zielonym, czasami na resztkach pomarańczowego.

Miałem dwie przecznice do Czarnookiej, gdy utknąłem w rzędzie aut.

Dziewiąta pięć.

Posuwałem się metr po metrze, nieuprzejmie przyklejony do zderzaka czarnego busa przed sobą. Okazało się, że przyczyną zatoru była stojąca w poprzek jezdni ciężarówka z oberwanym kołem.

Policjant, wyglądający jak bałwan w odblaskowej kamizelce, przepuszczał kolejne pojazdy, machając od niechcenia czerwoną podłużną latarką przypominającą pokaźny vibrator. "Tak by się pewnie skojarzył Cinderelli" - pomyślałem szczęśliwy, że zaraz znowu rozpędzę się do swojej zawrotnej czterdziestki.

Trochę mną zarzuciło.

Myśli pospiesznie biegły do przodu, chcąc niecierpliwie zatracić się w odwiecznej grze drobnych spojrzeń, słodkich słów, muśnięć skrzydeł niewidzialnych motyli, unoszących się coraz to większymi chmurami nad dwojgiem dusz, szarpanych chęcią opuszczenia swych ciał i splecenia ich w jeden węzeł, ściśnięty nadeludzką siłą pożądania.

Od kiedy seks przestał być jedynie aktem prokreacji, bezduszną czynnością fizjologiczną, od kiedy zaczął przybierać wiele twarzy, przez subtelne pocałunki i aksamitne pieszczoty, po mroczną dzikość ukrytą pod maskami z lateksu i ciasno zasznurowanymi skorupami gorsetów, ludzkość zaczęła czerpać z niego największą z możliwych przyjemności, balansując na granicy bólu i ekstazy.

Począwszy od królów i papieży namaszcanych wonnymi olejami przez dostojne kurtyzany, a skończywszy na wiejskich dziewczkach chędożonych łąpczywie w stogach siana, wszyscy zatraciliśmy się w żądzy przeżywania tego najwyższego ze wszystkich grzechu, wyrwanego od samego Boga przez pramatkę Ewę, która zanim skosztowała zakazanego jabłka rozchyliła uda i pozwoliła wślizgnąć się Wężowi, by przeżyć pierwszy i najsilniejszy orgazm w historii świata.

To ona, najpierw dla swojego mężczyzny, a potem dla przyszłych pokoleń stała się nauczycielką potężnej rozkoszy. Dzięki jej ofierze możemy wracać do Edenu, skąd wygnał nas Bóg, bezpowrotnie odarty ze swojej największej tajemnicy.

A teraz wy - kapłanki Ewy, święte kochanki, przywdziewacie rytualne szaty z koronek, tiuli i jedwabi, zdobicie szyje i nadgarstki girlandami pereł i szlachetnych kamieni, aby czcić pamiątkę pierwszego spełnienia, którego Ona doznała w raju.

Pokażcie mi drugie takie święto, które trwa wiecznie, które obchodzone jest w każdej minucie po wielokroć, jak ziemia długa i szeroka. Nieustannie któraś z was, odprawia to cudowne misterium, wpuszczając do swego gorącego wnętrza jakiegoś Węża, karmiąc się nim, jak niegdyś Ewa.

Niczym wierne mniszki nosicie czerwień świętego jabłka na ustach, paznokciach, sutkach i wargach sromowych, aby przypominać światu od kogo się wywodzicie.

Dziewiąta piętnaście.

Bóg mi świadkiem, szybciej się nie dało. Zerkając to na zegarek, to przed siebie, wyjąłem telefon.

"Napiszę jej, że jadę"

Zacząłem przerzucać palcem listę ostatnich połączeń. Baśka Biuro, Numer prywatny, Jan, znowu Jan. Na smartfonach wielkości tabliczki czekolady naprawdę nie da się tego robić jedną ręką.

"Jest!"

Na wszelki wypadek zerknąłem na drogę.

"W dupę, kurwa!" Wdusiłem w podłogę pedał hamulca. Zaterkotał ABS. Przez dwie, może trzy najdłuższe z możliwych sekundy sunąłem, beznadziejnie zamknięty w blaszanej puszce, wprost na czarną postać, która wyrosła mi przed maską jak zaczarowana. Zdążyłem tylko zauważyć, że to kobieta.

Gruchnęło, jakby ktoś kopnął w blaszane wiadro. Sylwetka w przedniej szybie miękko i nienaturalnie, niczym zjawą osunęła się w świetle reflektorów. Auto stanęło.

Wyskoczyłem jak oszalały.

Na jezdni, przed samochodem, oparta na kolanach gramoliła się młoda dziewczyna.

-- Nic pani nie jest? -- zapytałem idiotycznie.

-- Jeszcze nie wiem -- bąknęła, próbując wyplątać się z paska od torby.

Pomogłem jej się podnieść i stwierdziłem z ulgą, że stoi na własnych nogach.

-- Chyba okej, tylko mnie pan trącił.

Popatrzyła po sobie z kwaśną miną. Siedem nieszczęść. Cała w mokrym śniegu i brudnej mazi, pokrywającej ulicę przy takiej pogodzie. Kamień spadł mi z serca, gdy zabrała się za doprowadzanie do jakiego takiego porządku. Otrzeпаła krótkie, do niedawna jeszcze beżowe futerko, pozlepiane teraz jak sierść kocura, który właśnie wylazł z osiedlowego śmietnika i zmieszana obciągnęła spódnicę, próbując zasłonić wielką, ziejącą dziurę w czarnej rajstopie, odsłaniającą kolano oraz połowę uda.

-- Boże, jak ja wyglądam?

-- Strasznie panią przepraszam. -- Nie spuszczać z niej wzroku, zacząłem zbierać z ziemi porozsypane rzeczy. Telefon, szminkę, portfel, jakieś papiery, wszystko mokre i zapaćkane.

-- To jest ważne -- powiedziała, biorąc ode mnie sfatygowane kartki.

-- Zawiozę panią do domu.

-- To raczej niemożliwe. Mieszkam we Wrocławiu, właśnie biegłam na pociąg.

Dopiero teraz zauważyłem małą walizkę na kółkach, leżącą nieopodal.

-- Do hotelu może... -- Rozejrzała się, z nadzieją, że zobaczy jakiś w okolicy.

-- Mam lepszy pomysł.

Dwa kwadransy później szła, dwa kroki przede mną, mijając trzecie półpiętro kamienicy na Mokotowie.

-- Pokrzyżowałam panu plany -- powiedziała wchodząc do przedpokoju.

-- Nie miałem planów -- skłamałem.

Nie bez przyjemności zaczęła zdejmować z siebie mokre ubranie. Czarna spódnica okazała się być sukienką z żakardowej dzianiny, przepasaną w talii szerokim skórzanym paskiem.

Spojrzałem ukradkiem na telefon. Trzy nieprzeczytane wiadomości.

Wysypała na stół zawartość torby. Luźny golf poruszał się energicznie, odsłaniając skrawek dekoltu, gdy pochylona zabrała się za wycieranie swoich rzeczy.

Puknąłem w ekran.

"Jestes tam gdzie?" -- otrzymano 21:18.

"Zimno mi, zaraz jade do domu" -- 21:35.

"Dupek!" -- 21:50.

Podobnie pośladki, może nieco za mocno zaokrąglone, a może właśnie idealne, falowały delikatnie w rytm jej ruchów, uwięzione pod materiałem, na którym odciski, ciemna plama przypominała o niedawnym upadku w śnieg. Były jak dwie połówki jabłka z Drzewa Poznania, podarowane przez Boga na pamiątkę nocy w Edenie, jak nieprzewyciężone oręż, noszone zuchwale, a zarazem od niechcenia, niczym pawi ogon rozpościerany z krzykiem lśniących w słońcu szmaragdów i malachitów, w końcu jak cudownie ciepły matecznik, gdzie składa się drogocenny łup, zdobyty w nierównej walce piękna i brzydoty, aby w ciszy dziewięciu miesięcy wzrastał do skończonych rozmiarów i kształtów by wydrzeć się w bólach na świat.

Wpatrując się w nie zapomniałem o Czarnookiej, o migających kopertach, o lepkim śniegu za oknem, udręczony jak Kendra szaleńczą pokusą, tłumioną bezsilnie w sobie.

-- Z tego chyba nic nie będzie. -- Dziewczyna podniosła ze stołu śliskie i posklejane papiery.

-- Poczekaj. -- Wziąłem kartki i zacząłem rozkładać je na kaloryferze.

-- Marzę o ciepłym prysznicu.

-- Łazienka jest tam -- skinąłem głową. -- Ręczniki w szafce pod oknem.

Gdy zniknęła w mroku korytarza odruchowo skupiłem się na fragmencie nieco mniej rozmokłego tekstu, nakreślonego starannym, nieco dziecinny charakterem pisma.

"... dał jej kilka zmiętych banknotów, które nie przeliczając schowała do tylnej kieszeni dzinsowych szortów, pożyczonych od Liv. Były trochę przyciasne, bo jej przyjaciółka miała o wiele mniejszy tyłek od niej, ale przez to znacznie lepiej nadawały się na tę okazję. Jednym ruchem zmiotła ze stołu parę puszek po piwie i zatłuszczone pudełka od "Dunkin' Donuts", po czym weszła na blat, klękła szeroko, wygięła plecy w koci grzbiet, żeby zaraz zejść niżej, trzy, góra cztery cale nad wybrzuszony rozporek pana Brinkmana. Czuła jak z bólem napinają jej się ramiona i plecy lecz wytrzymała w tej pozycji, chcąc by pośladki pozostawały wypięte uroczyście, niemal pod samą blaszaną lampę zwisającą z sufitu."

Dalej tusz był rozmazany. Odwróciłem kartkę.

"...przypomniała sobie, co mówiła jej Liv. *Pani Brinkman jedzie tylko zawieźć dzieci na kółko plastyczne do Green Valley, więc masz najwyżej pół godziny na tego dziada.*

Kendra przyspieszyła, licząc że w ten sposób stary szybciej skończy..."

Zatrzymałem się.

Kendra, Kendra... Alter ego Cinderelli, która biegnąc przez rozpalone przedmieścia Los Angeles wyładowała na moim zderzaku, która z nabożeństwem zbierała z ulicy swoją wilgotną spowiedź i, która w końcu, w mojej łazience, zmywała z ulgą obleśny zapach pana Brinkmana.

Odkorkowałem butelkę tegorocznego Beaujolais.

Stała w drzwiach, owinięta tylko białym, mięsistym ręcznikiem. Podałem jej kieliszek. Zbliżyła go do ust, uśmiechając się zielenią oczu, w której odbijała się gęsta czerwień wina. Po plecach i ramionach, pokrytych aksmitnym meszkiem spływały jeszcze drobne strużki kalifornijskiego potu.

Do północy zostało nam jeszcze sporo czasu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jan Plasota, dodano 11.01.2014 08:36

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.